

Rok IX. Bytom G.-Szl., 1-go Czerwca 1895. **Nr. 11.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 101) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Gabryel Hołubek,
SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.
POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

Na środku izby, pod wodzą dziesięcioletniego Iwaszki, najstarszego syna Dymitra, bawiło się sześcioro dzieci. Iwaszka był to chłopak bystry, panicza ze Siekierzan znał dobrze, więc się ani przestraszył, ani zmięszał jego wizytą. Podjąłszy tedy pana za nogi i pocałowawszy go w rękę, jął zaraz pytać o jasną panienkę, kiedy przyjedzie, czemu tak dawno nie była, a oni wszyscy tęsknią po niej, bo ją bardzo kochają.

— Panienka pojechała daleko... już pewnie nigdy nie wróci — odparł ze smutkiem młodzieniec. — Ale kiedy ją tak kochacie, to tu masz oto — dodał, podając chłopcu kilka srebrnych pieniążków.

Ale Iwaszka zdawał się wcale z daru nie cieszyć; stał chwilę ze spuszczoną głową, a wreszcie zapytał:

— A czemu to, proszę waszej miłości, panienka odjechała i już nie wróci? My ją tak kochali i ona nas kochała. A jak tu ostatni raz była, kiedy to przywiozła Terce krasną sukienkę, to tak płakała, jak ją panicz na konia wsadział.

Pan Marek drgnął, jakby rozpalonem żelazem dotknięty:

— Jaki panicz? — zakrzyknął.

— Ano ten z Olechowic! Co to tu zawsze do nas przyjeżdżał i też nas kochał i panienkę też kochał i też płakał jak panienka płakała; i żałował panienki, że tak płacze, i całował jej rączki i główkę, żeby już nie płakała; a ja był na podwórku więcem widział i też zacząłem płakać, bo mi jasnej panienki i panicza mocno żal było...

Pan Marek stał, jak piorunem rażony. Pana Adama Wisłockiego ledwo kilka razy w życiu widział i całkiem zapomniał, że ten istnieje na świecie; teraz mu wszystko było jasne. Z wytężeniem wszystkich sił pohamował szalony gniew, który mu włosy podnosił na głowie, i po chwili milczenia, na pozór spokojnie odezwał się, ale tak zmienionym głosem, że mały Iwaszka szeroko otworzył oczy i buzię, gdy panicz go spytał:

— A znasz ty mały... panicza... z Olechowic?

— Zaś miałbym nie znać! On nas tak kochał, jak jasna panienka, i bawił się z nami i zawsze nam co ładnego przywoził, to my się cieszyli jak przyjechał, a on też mówił, że nas kocha i przyjeżdżał...

— Często? — spytał pan Marek, drżąc jak we febrze.

— Zawsze jak jasna panienka przyjechała, to panicz też zawsze przyjechał, a raz to mi przywiózł...

— A wiesz też jak temu paniczowi na imię?

— A wiem! Adam? Widzi wasza miłość, że wiem! Jasna panienka też tak mówiła...

— Dziś nie przyjedzie tu, nie wiesz?

— Dziś? Ja nie wiem! Ach żeby tak przyjechał — tu Iwaszka klasnął w ręce, ale zaraz dodał ze smutkiem:

— O, pewnie nie przyjedzie! Może też tak daleko pojechał, jak panienka, bo jak w ten dzień, kiedy to tak panienka płakała, odjechał, to już nigdy nie przyjechał... Ale może...

— Bądź zdrów chłopcze! Ani wiesz, jakąś mi przysługę oddał! — wykrzyknął nagle pan Marek i dodał: — No, to dla ciebie i dla tych malców! — to mówiąc, rzucił chłopcu kilka dukatów i jak szalony za drzwi wyleciał.

Podczas, gdy mały Iwaszka z otwartemi ustami i wytrzeszczonemi oczyma, otoczony młodszem rodzeństwem, przyglądał się ze zdumieniem złotym pieniędzom, młody pan z Siekierzan rzucił się na konia i jak strzała pomknął w stronę Olechowic.

Wieczór już zapadał, gdy niepokojący się o swego pana Jarema, ujrzał go wjeżdżającego na dziedziniec zamkowy. Siwy arab mokry był, jakby z wody wyszedł, a pan Marek siedział na nim ze spuszczoną głową i śmiertelnym smutkiem w twarzy, obok którego przeglądała przecież i rezygnacya. Wszedłszy do zamku, udał się prosto do swej sypialnej komnaty i posiliwszy się nieco, padł na łóże wyczerpany zupełnie.

Wyjechawszy z leśniczówki chciał zrazu nieszczęśliwy młodzieniec lecieć do Olechowic i pana Adama rozedrzeć na sztuki. Lecz pędząc, tak się zapamiętał, że nie spostrzegł, jak rączy arab minął drogę prowadzącą do dziedzictwa panny Anny, i dalej gościńcem poleciał; a później wpadłszy na step, gnał bez wytchnienia mil kilka. Zmordowany tą szaloną jazdą, ochłonął przecie pan Marek z gniewu i wracając już wolniej do domu, jął spokojnie rozmyślać nad swem położeniem.

Postanowił więc udać się na drugi dzień do Olechowic i znalazłszy tam pana Adama zapytać go, co uczynił z Ludmiłą i wyzwać go na szable. Przychodziło mu też na myśl, że może piękna sierota znalazła przytułek u panny Wisłockiej, że może ciotka wiedziała o sprawce synowca; lecz w tej samej chwili przypomniał sobie, jak zacna stara panna była serdeczną przyjaciółką jego siostry pani Elżbiety, która przed nią tajemnic nie miała i dawno zwierzyła się jej z zamiarem wydania sieroty za brata, co też panna Anna, sama zacność i cnota, bardzo przyjaciółce pochwaliła. Pewny więc był, że ciotka Adama o niczem nie wie, i że Ludmiły pod jej dachem nie ma. Ale w takim razie gdzież jest? Czyby pojechała do Warszawy, jak mu to zapowiedziała? Lecz coby tam sama robiła?

Wtem przypomniał sobie, co mu mówiła raz pani Gorajska, że pan Wojciech Wisłocki, chcąc ratować upadek swego domu, postanowił ożenić Adama z bogatą Wielkopolanką, którą już synowi wybrał. Wspomnienie to poczęło znowu budzić wściekły gniew w sercu pana Marka, bo jeżeli Adam ma już narzeczoną, z woli ojca, to cóż się stanie z nieszczęśliwą sierotą? To, że Adam już dawno poślubił Ludkę, na myśl strapionemu młodzieńcowi nie przyszło i przyjść nie mogło.

Znowu więc brała go chęć nieprzemożona lecieć do Olechowic i młodego rotmistrza pociąć na sieczkę. Wstrzymywał go tylko szacunek dla panny Wisłockiej, której nie chciał pokazywać

się w takiem wzburzeniu, i której pragnąc oszczędzić boleści, postanowił nie wspominać o niegodziwości bratanka, a tylko w cztery oczy się z nim rozprawić. Wrócił więc, jak widzieliśmy do zamku, i dopiero na drugi dzień pokrzepiony snem i spokojny zupełnie udał się do Olechowic.

Panna Wisłocka przyjęła brata swej przyjaciółki bardzo serdecznie i wielkie okazała współczucie nad zmartwieniem, które dosięgło młodzieńca, gdyż wiedziała już o zniknięciu Ludki, o którem mówiła cała okolica. Dziwiła się też bardzo, że panienka tak poczciwie wychowana, opuściła samowolnie i potajemnie dom niemal rodzicielski. Lecz pan Marek zaraz powiedział, że to po części jego wina, gdyż przestraszył sierotę zbyt prędkim ślubem i zakazał jej dom opuszczać; więc potajemnie to uczyniła, aby odszukać własną rodzinę.

Następnie stara panna, kochająca bardzo swego synowca Adama, zaczęła sama o nim mówić i pan Marek dowiedział się ze zdziwieniem, że pan rotmistrz nazajutrz po odebranej wieści o śmierci królewskiej ruszył do Wisłocka, gdzie stanął szczęśliwie i zaraz z ojcem do pana Zamojskiego, a później do Warszawy miał pospieszyć.

— Więc tedy Ludka mówiła prawdę, że do Warszawy pojedzie — pomyślał pan Marek. — Tam to niewątpliwie, uciekła, aby się z Wisłockim połączyć. Trzeba i mnie do stolicy, a znajdę ich tam obojga..... i zemszczę się..... o tak, zemszczę się.

Tu poczuł młody panicz, że zazdrość i gniew podnoszą się na nowo w jego sercu i grożą wybuchem. Jął się tedy żegnać z panną Anną, jak mówił na długo, bo opuszcza Siekierzany i Bóg wie, kiedy do nich wróci. Stara panna nie pytała się dokąd jedzie, bo domyśliła się, że do panów Zborowskich, których, jak jej cała rodzina, nie cierpiała z całego serca. Uważając też dziwne pomięszanie Marka, które przypisywała żalowi z utraty Ludmiły, nie zatrzymywała dłużej swego młodego gościa, a ten też niebawem odjechał.

Dopiero za wrotami odetchnął biedny młodzian całą piersią, bo źle mu strasznie było w domu panny Wisłockiej. Już samo to nazwisko burzyło mu krew w żyłach i sam się zdziwił, że tak począł nienawidzić całą rodzinę Adama. Nawet panna Anna, którą dotąd szczerze szanował i lubił, stała mu się nieznośną prawie.

Wracając szybko do Siekierzan, układał sobie cały plan postępowania. Postanowił więc zdawszy rządy zamku i majątku na Suchoweja, udać się do Andrzeja Zborowskiego, którego sprawie chciał się teraz cały poświęcić. Wszystka drobna szlachta w okolicy Siekierzan szanując i kochając panią Gorajską, która świadczyła swoim niezamożnym sąsiadom tysiączne dobrodziejstwa gotowa była iść tam, gdzie ją brat ich dobrodziejki powiedzie. Wiedział o tem pan Marek, więc mówił do siebie:

— Z tymi wszystkimi szaraczkami*) stanę po stronie Zborowskich, przecie oni moi koligaci i przyjaciele. Myliła się też ś. p. kochana siostra moja, Panie świeć nad jej duszą! twierdząc, że zła ich sprawa, że tylko pan Zamojski obstaje za prawdą i sprawiedliwością, że wszyscy prawi i zacni obywatele z kanclerzem trzymają. Gdyby to było prawdą, to czyż podobna, aby tacy ludzie, jak ten wraży Adam Wisłocki byli stronnikami hetmana?

Tu aż grzytnął zębami na wspomnienie rotmistrza i myślał dalej:

— Mówiła zawsze ś. p. siostra, że tylko niecne warchoły i nędzne nikczemniki za Zborowskimi się opowiadają, a czyż może być większy nikczemnik, jak ten przeklęty rotmistrz? A on przecie nie jest stronnikiem pana Andrzeja. On teraz jego i mój wróg podwójny, prywatny i polityczny! Znajdę go pomiędzy przeciwnikami Zborowskich i taką zemstę, za ich pomocą wywrę, o jakiej świat nie słyszał.

Podniecając się tak wspomnieniem o Adamie i swej mniemanej krzywdzie, gnał jak wicher do Siekierzyna. Ale jeszcze tego samego dnia wyjechał z

*) Szaraczkami nazywano szlachtę zagrodową.

zamku. Nie udał się jednak zaraz do pana Andrzeja, lecz dość długo kręcił się po okolicy, oddawał wizyty szlachcie i jednał umysły sprawie Zborowskich. Był on teraz oddany im duszą i ciałem, gotowy dla nich zrobić wszystko; gdyż usposobienie tego panicza było tego rodzaju, że ani kochać lub nienawidzić, ani służyć przez pół nie umiał. Jeżeli dotąd nie przerzucił się stanowczo na żadną stronę, to tylko dzięki dwom przeciwnym wpływom, to jest wpływowi siostry i Zborowskich.

Gdyby Ludmiła nie była uciekła, lecz została jego żoną, niewątpliwie byłby zerwał, choć może nieodrazu, ze sławnymi burzycielami; nawet gdyby tylko była nadal bawiła w jego domu, nie byłby im się oddał całem sercem. Odmowa pięknej sieroty wywołała wprawdzie gwałtowny wybuch u ognistego młodzieńca, który w pierwszej chwili gotów był do najszaleńszego czynu; lecz wieść o chorobie panienki była, jakby kubłem zimnej wody na rozpaloną głowę i wzbudziła w sercu rozgniewanego żal szczery. Upewniwszy się następnie, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi chorej, pojechał do Kamieńca, gdzie spodziewał się znaleść O. Teofila. Lecz nie po to chciał go szukać, aby ksiądz wbrew woli Ludki ślub dawał, tylko, aby wymową i powagą swoją przełamał upór dziewczęcia. Pan Marek nie wątpił, że uczony Jezuita dokona tego, iż Ludmiła dobrowolnie odda rękę bratu swej opiekunki; wiedział on jaki wpływ wywierał zakonnik na panią Elżbietę i jej wychowankę, jak obydwie polegały na zdaniu pobożnego kapłana. Niestety O. Teofila w Kamieńcu nie znalazł, gdyż był już ztamtąd wyjechał, co było wielką szkodą; bo chociażby, co się tyczyło odmowy Ludki nie mógł nic zmienić, to zbliżenie się do tego prawego kapłana-obywatela, jakim był O. Teofil, pobyt jego na zamku, poważne rozmowy byłyby powstrzymały pana Siekierzyńskiego od stanowczego przerzucenia się na stronę Zborowskich.

Teraz zaś całkiem im oddany, jeździł, kręcił się, zapraszał do Siekierzan panów braci (tak się szlachta pomiędzy sobą nazywała), gdzie ich hojnie podejmował, karmił, poił i w ten sposób jednał Zborowskim stronników, i to nietylko pomiędzy drobną szlachtą, która mając w pamięci przezacną swoją sąsiadkę i dobrodziejkę, panią Gorajską, całem sercem szła za jej bratem, lecz także szlachtę ze znakomitszych sąsiednich domów.

Mimo tego czynnego życia i gorączkowych zabiegów, nie schodziło z pamięci pana Marka nieszczęście, jakie go spotkało, nurtowały mu duszę boleść, żal i wstyd, podkopując zdrowie tego rzadkiej piękności i siły młodzieńca. Cierpiało w nim serce, bo Ludkę kochał prawdziwie, cierpiała jego miłość własna i duma; bo oto biedna, bez nazwiska sierota, wychowana z miłosierdzia przez jego siostrę, nietylko wzgardziła ręką bogatego, nad podziw urodziwego panicza, ale jeszcze śmiesznością i wstydem go okryła, uchodząc z pod jego opieki, gdy już ślub był rozgłoszony i rzucając plamę na dom powszechnie szanowany i niemal swój rodzinny; boć piękną sierotę uważali wszyscy za krewną pani Gorajskiej i narzeczoną od dawna jej przyrodniego brata.

Nareszcie pod koniec Stycznia, gdy już umysły wszystkiej niemal okolicznej szlachty zwróciły się przeciw wielkiemu hetmanowi Zamojskiemu, uznał pan Siekierzyński, że czas ruszyć do powinowatego i przyjaciela swego pana Andrzeja Zborowskiego. Dziwna rzecz, jednak jakoś ciężko mu było opuszczać dom; czuł się znękany, zmęczony, chory: rankami przebiegały go dreszcze, wieczorem trawiła gorączka. Nie lubił też jeździć bez Jaremy, któremu nieraz odkrył to, co bardzo na sercu ciężało, lecz nie mając kogo zostawić na zamku, chcąc, nie chcąc musiał sam pojechać, z kilku tylko ludźmi dworskimi.

Pan Andrzej Zborowski nie tracił też czasu na próżno. Przy potężnym panu stanęli jego krewni, koligaci przyjaciele i ci wszyscy, którym silne, sprawiedliwe rządy Stefana Batorego się nie zdały, a wreszcie nowowiercy; to jest tacy, którzy porzuciwszy wiarę ojców, przyjęli

»nowinki« jak w Polsce nazywano różne sekty, grasujące w tych czasach po całym świecie. Potężne to stronnictwo miotało obelgi na zmarłego króla i hetmana, nazywając pierwszego tyranem, a Zamojskiego zdrajcą.

Lubo więc panu Andrzejowi zwolenników nie brakło, to przecież stronnik tak znakomity i wpływowy, jak pan Marek, był mu bardzo pożądany. Ucieszył się też wielce z jego przybycia, zwłaszcza, iż wiedział już o zabiegach czynionych przez niego na swoję korzyść, uściskał serdecznie młodzieńca i spytał zaraz kiedy wesele. Panu Markowi ścisnęło się serce, lecz przywiązanie do Ludki nie pozwalało mu jej obwiniać. Odpowiedział więc, że małżeństwo jego z wychowanką siostry nie przyjdzie do skutku, gdyż sierota pragnąc odszukać własną rodzinę, opuściła Siekierzany, i udała się do Warszawy. O młodym rotmistrzu zaś nic nie wspomniał, bo miłość do Ludki i zraniona miłość własna zamykały mu usta.

— O kochany kuzynie! — zawołał pan Andrzej — jeżeli tylko pragniesz dziewkę poślubić, to ją wnet odnajdziemy w Warszawie i weźmiesz jak swoją!

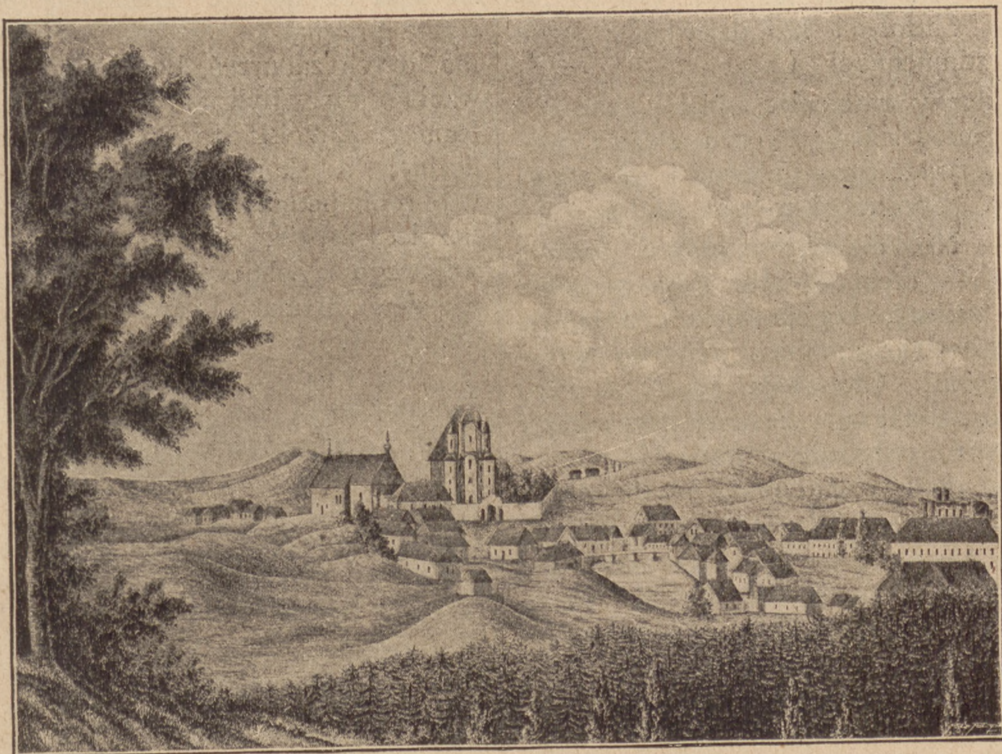
— Nie pora teraz o tem myśleć — odparł posępnie pan Marek — ważniejsze sprawy nas czekają.

Chociaż pan Andrzej przyznawał w duszy słuszność kochanemu kuzynowi, że pilniejsze miał sprawy, jak ściganie jednej dziewki, aby ją zmuszać do małżeństwa, a nadto zbyt był samolubny, aby go prywatne sprawy kochanego kuzyna obchodziły, to przecież pragnąc mu okazać życzliwość i serce, którego nie miał, zakrzyknął z udanym zapałem:

— Nie mów tak, miły Marku! Gdy chodzi o twoje szczęście, musi się znaleść czas i wolna głowa, aby ci je zapewnić! Lecz czemuś to pannę z domu wypuścił?

— Wystraszyła się zbyt rychłego ślubu... i... ot, zwyczajnie młode, płochliwe... i potajemnie ujechała.

— A to zuchwała, ale i śmiała



KROŻE. (Obacz artykuł na str. 167.)

dziewka! Niech ją kule biją! Ale mi się podoba! A jakże to? sama puściła się do Warszawy?

— Ze starym, zaufanym sługą, niemal przyjacielem ś. p. mej siostry pani Gorajskiej.

— O, to łotr! Zdrajca! Łeb bym takiemu kazał uciąć!

— Jechał go sęk! starego Judasza! Nie nad nim będę pomsty szukał... — wybuchnął mimowoli pan Marek — mam ja prawie pewność, że tam ktoś inny palce umaczał... jeno nie chcę jeszcze teraz o tem mówić...

— Chciał ci kto dziewkę z przed nosa zdmuchnąć! Co?

Ciemny rumieniec oblał piękne oblicze młodzieńca, z oczu strzelił płomień strasznego gniewu i obrażonej dumy. Spostrzegł to pan Andrzej.

— No, nie chcesz mówić, tak nie mów — rzekł — Ale gdy przyjdzie pora zemsty, kogokolwiek ona będzie miała dosięgnąć; masz we mnie sprzymierzyńca! Oto moja ręka! A jeżeli to jeszcze jaki ogar ze sfory tego zdrajcy kanclerza, tedy mu damy takie pamiętne, iż go rodzona matka nie pozna!

— Dziękuję ci wdzięcznem sercem, panie Andrzeju — ozwał się teraz pan Marek, okrutnie z siebie nierad, że mu się to na pół wyznanie przy Zborowskim wymknęło, ale przecie ściskając jego rękę i zapewniając o swej dozgonnej wdzięczności. Ale mu przerwał pan Andrzej, mówiąc z udaną serdecznością:

— Co tam! Nie dziękuj, kochany kuzynie, bo nie ma za co! Twoja sprawa, będzie zawsze moją sprawą, i basta! Lecz teraz, kochany Marku, czas zająć się sprawami publicznemi, bo niebawem ruszymy do Warszawy, aby temu mordercy naszego niewinnego brata pokazać, iż skończyło się jego panowanie.

W kilka dni później pan Andrzej Zborowski pojechał rzeczywiście na sejm do Warszawy, ale bez kochanego kuzyna, który pozostał w domu ciężką niemocą powalony na łoże. Pan Andrzej zaś, mając zapewnioną przychylność szlachty, którą dla niego pan Marek zjednał, mniej już dbał o niego samego.

Sejm konwokacyjny rozpoczął się drugiego Lutego; pan Andrzej lubo pod oskarżeniem będący, gdyż rozstrzygnięcie jego sprawy zostało odłożone, nie wahał się stawić na konwokacyi z laską marszałka nadwornego i zabrać miejsce wielkiemu marszałkowi. Obrady na tym sejmie opanowało też stronnictwo Zborowskich, które było bardzo silne; a uczyniło to tem łatwiej, że kanclerz idąc za radą prymasa Karnkowskiego, wcale na sejm nie zjechał. Znakomity ten patryota pragnął ze wszystkich sił uniknąć możliwych zaburzeń, bodaj czy nie zerwania sejmu. Byli tam wprawdzie i zwolennicy Zamojskiego, ale w mniejszej liczbie; a skoro śmielsi występowali w obronie hetmana, życie ich było w niebezpieczeństwie, jak naprzykład Leśniowolskiego i Żołkiewskiego, późniejszego wielkiego hetmana i carów moskiewskich pogromcy.

Nic więc dziwnego, że Zborowscy przeprowadzili na sejmie wszystko, co chcieli; a mianowicie następujące postanowienia, które przesłano Zamojskiemu: Więc odjęcie mu buławy na czas bezkrólewia, oddanie go pod sąd, zniszczenie dzieła o wojnie moskiewskiej, w którem był oddany hołd bohaterstwu i mądrości nieboszczyka króla Stefana Batorego, oraz podniesione zasługi hetmana; dalej zniszczenie aktu oskarzenia i wyroku na Zborowskich, wreszcie przywołania brata ich Krzysztofa. Na koniec naznaczono dzień 30-go Czerwca na sejm elekcyjny, na którym miał być nowy król wybrany; i przyjęto tak zwaną konfederacyą warszawską, która nadawała prawa innowiercom, a ścieśniała je prostemu ludowi.

Do najgorliwszych stronników kanclerza należał pan Wojciech Wisłocki, który wraz z synem Adamem na sejm przybył; zacny starzec widząc, że partya burzycieli opanowała obrady i przeprowadziła niecne uchwały, skierowane przeciw wielkiemu hetmanowi, rozchorował się niemal, a stan jego tem więcej się pogorszył, że syn musiał odjeżdżać.

Urlop, który Adam na czas choroby otrzymał, kończył się właśnie; przedłużenia go zaś nie można się było spodziewać, ani nie chciał o nie rotmistrz prosić, ponieważ straż granic ruskich odebrano Zamojskiemu, a oddano Mikołajowi Herburtowi z Dziedziłowa.

Wprawdzie za pół roku miał pan Adam porzucić kresy stanowczo, gdyż ojciec jego pragnął, aby ożeniwszy się bogato, wystawił własną chorągiew, z którą by stawał wprawdzie do każdej potrzeby, ale w czasie pokoju siedział w domu i gospodarzył; lecz obecnie musiał wracać do powierzonego sobie pułku, zwłaszcza, że bezkrólewie wymagało pilnego strzeżenia granic.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KROŻE.

Parafia krożańska, położona na Żmudzi koło granicy pruskiej, składa się przeważnie z zamożnych włościan Żmudzinów, nie mówiących ani po polsku, ani po moskiewsku, a jedynie po żmudzku. Nawet kazania w tym języku są tam wygłaszane, (księża należą do tej narodowości) a sądy pokoju odbywają się za pomocą tłómaczów. Szlachty i znaczniejszych właścicieli dóbr prawie nie ma i cechą ogólną tej parafii, jak w ogóle wszystkich Żmudzinów, jest wielkie przywiązanie do religii katolickiej.

Ponieważ w ogólności nieznaną jest miejscowość Kroże, w której rozegrała się tragedya historycznej doniosłości — zaznaczyć trzeba, że Kroże leżą nad rzeką Krożenią, wpadającą do Dubissy. Za polskich czasów były one miastem powiatowem w ks. żmudzkiem. Historya Litwy wspomina o nich po raz pierwszy w roku 1257, mianowicie gdy Kroże zostały nadane przez Mendoga zakonowi inflandzkiemu.

W Krożach były z dawnych jeszcze czasów trzy kościoły: 1) drewniany, farny, jeden z pierwszych na Żmudzi, fundowany przez Władysława Jagiełłę i Witołda w 1413; 2) jezuicki, murowany, założony w 1621 przez Jana Karola Chodkiewicza; wreszcie 3) kościół z klasztorem pp. Benedyktynek, zbudowany przez Wołłowicza w 1642. Z tych trzech w jednym tylko odbywa się dzisiaj nabożeństwo, mianowicie w farnym, maleńkim grożącym zawaleniem.

Gdy Moskale po zabraniu Litwy zaczęli kasować zakony i ich dobra sobie przywłaszczać został zamknięty i kościół jezuicki w Krożach. Zabudowania kościelne oddano komisyi edukacyjnej i była tam szkoła wydziałowa, a od 1818 do 1831 gimnazyum. Dzisiaj w tych zabudowaniach mieści się poczta i różne pomieszkania; nakoniec zrujnowany przez Moskali kościół runął, resztki rozebrano po 1840 r. Jezioro, należące do klasztoru, na mocy rozporządzenia carskiego oddano na własność cerkwi kowieńskiej, posiadłości inne klasztoru wraz z wiatrakiem przeznaczono na urządzenie rosyjskiej kolonii.

Losy kościoła Benedyktynek jeszcze smutniejsze. Ukaz carski z 12-go Grudnia 1891 nakazał zakonnice wyrzucić, kościół zamknąć i zburzyć. O to właśnie wykonanie carskiej woli, oblanej krwią męczeńską żmudzkiego ludu — toczył się proces w wileńskiej Izbie sądowej pod nazwą sprawy krożańskiej. Mianowicie o zachowanie kościoła Benedyktynek prosili parafianie cara. W pokornej prośbie, do cara wniesionej, przedstawiali parafianie, iż kościół. który zamknąć kazał, jest piękny, murowany, wzorowo utrzymany i w środku miasta. »W nim modlili się ojcowie nasi, a i my też o Ciebie gorące wnosić modły przywykliśmy«, pisali włościanie, to też prośba ich rzeczywiście była tylko wyrazem naglącej potrzeby i słusznego żalu, jak to dowodzi następujące zestawienie faktów.

Farny kościół w Krożach był dre-



FAŁSZERZE MONETY. (Obacz objaśnienia rycin na str. 176.)

wniany, ciasny i stary. Jeszcze za czasów generał-gubernatora wileńskiego Albedyńskiego, który później był w Warszawie, — włościanie krożańscy otrzymali pozwolenie na zbieranie między sobą składek na budowę nowego kościoła. Gdy z krwawych oszczędności, odmawiając sobie chleba powszedniego, zebrali dostateczną kwotę i przystąpili do restauracyi pięknych i okazałych murów dawnego kościoła Benedyktynek, położonego w samem miasteczku, — nadesłał niespodzianie nowomianowany generał-gubernator wileński Kochanow rozporządzenie nowe powołując się na to, że prawo nie pozwala, aby istniały dwa kościoły w jednem miasteczku bez osobnego pozwolenia carskiego, — wobec tego Kochanow, po różnych układach z władzą duchowną katolicką w Kownie, kazał zamknąć świeżo odnowiony kościół, a parafianom pozostawił kościół stary.

Można sobie wyobrazić rozpacz nieszczęśliwych Żmudzinów, gdy im to rozporządzenie ogłoszono i gdy przekonali się, że przepada im nietylko owoc ich starań, zabiegów i pracy, lecz że będą musieli się rozstać z piękną świątynią, do której już byli przywykli.

Ponieważ jednak rozporządzenie to nie miało charakteru nieodwołalnego, wyobrazili sobie włościanie, że rozporządzenie to będzie można znieść i zaczęli wnosić skargi i prośby pod adresem cara.

Tymczasem nastąpił zwrót niespodziewany. Kochanowa, po wykryciu roztrwonienia przez jego otoczenie sum, przeznaczonych na pomnik Murawiewa w Wilnie, jawnych łapówek, wymaganych i branych, tudzież różnych innych brudnych nadużyć, wydalono w Styczniu 1893 roku. Na jego miejsce zamianowano żandarmskiego generała Orżewskiego. Ten, były naczelnik tajnej policyi, zaczął od tego, iż porozpędzał głównych łapowników Kochanowa, a między innymi sromotnie wydalił z Wilna własnego jego syna i wziął się do sprawy zupełnie inaczej. Dla włościan krożańskich ta zmiana była jednak fatalną. A mianowicie, o ile Kochanowowi, Ormianinowi z Tyflisu i jego otoczeniu, szło przedewszystkiem o zebranie pieniędzy — o tyle Orżewski, będąc synem popowicza i sławnego łapownika, a więc już z domu bogaty, czuł tylko potrzebę zrobienia karyery.

Toby mu się udało, gdyby zdołał odkryć gdzie w kraju polską »intrygę« i »bunt.« Sprawa kościoła krożańskiego mogła mu do tego dopomodz. Gubernator Klingenberg dostał zatem rozkaz, aby kościół ostatecznie zamknąć kazał.

Sposób przez Klingenberga użyty, był bardzo prosty. Gdy po lekkim i zupełnie nic nie znaczącym oporze, okazanym przez parafianki krożańskie księdzu katolickiemu, który przyszedł w towarzystwie urzędnika policyjnego wynosić Przenajświętszy Sakrament z kościoła, włościanie zebrani w Krożach dowiedzieli się, że ma przyjechać gubernator z kozakami, postanowili go przyjąć z krzyżem, portretami cara i carowej i błagać go o wyjednanie łaski monarszej, aby kościoła wystawionego krwawemi oszczędnościami im darmo nie odbierano.

W każdym razie włościanie oświadczyli, że skoro im objawią wolę cara, usłuchają jej bezwzględnie i złożywszy przed jego przedstawicielem swoje żale, rozejdą się do domów.

Nic nie mogło być fatalniejszego nad to postanowienie włościan dla panów Orżewskiego i Klingenberga, bo gdyby włościanom rzeczywiście dano możność rozejść się spokojnie a kościół zamknięto bez rozlewu krwi, przepadłyby plany uśmierzenia nibyto powstania, a więc i nagrody za to spodziewane od cara. Tego szczególnie trzeba było uniknąć, temu przeszkodzić, wszelkiemi środkami. To też dowiedziawszy się o tem Klingenberg, w otoczeniu kilkunastu ludzi, wpada o trzeciej godzinie w nocy do kościoła, rozpędza chłopów, rąbie portret carski i każe swoim urjadnikom knutować kobiety. Pomimo oporu oficerów żandarmskich (z których nawet jeden, rotmistrz Simionów, broniąc 80 letniej staruszki, sam trzykrotnie ude-

rzony został nahajką) — posyła drugich urjadników za wychodzącymi włościanami, aby tych także knutami obdzielić. Następnie każe strzelać na wiatr w kościele i gdy nakoniec kilku odważniejszych włościan, rozwścieklonych tem postępowaniem, rzuciło się na niego i zaczęło go po twarzy, czyli, jak sam pan gubernator przyznaje, »po czapce« okładać, cofa się na chór kościoła z kilkunastu policyantami i oczekuje wezwanych Kozaków, którzy przybywszy, dopuszczają się okrutnych gwałtów.

Mianowicie stratowano wówczas na śmierć ośm osób, ciężko pokaleczono 42, a pogwałcono 15 kobiet i dziewcząt.

Co do bitych nahajkami z rozporządzenia Klingenberga i w jego obecności w kancelaryi włościańskiej i co do pokaleczonych bez jego rozporządzenia na ulicach miasteczka, to takowych zliczyć niepodobna, gdyż wiele ofiar z krzywdą tą się kryło, aby nie zasiąść na ławie oskarżonych, jako uczestnicy »powstania krożańskiego«, które takim sposobem Klinbenberg dla swego pana Orżewskiego umiał sam stworzyć, aby je następnie uśmierzyć.

Ma się rozumieć, że wszystkie ofiary zostały po knutowaniu zaaresztowane i że natychmiast Orżewski powysyłał do Petersburga telegramy o tem, że bunt polski wybuchł, że nowe powstanie zostało w zarodku stłumione tylko dzięki jego energii.

Wiadomo, że proces krożański skończył się pomyślnie dla aresztowanych, albowiem częścią przez sąd, częścią przez cara od kary uwolnieni zostali.

Sprawa krożańska jest jedną z licznych krwawych kart z męczeńskich dziejów wiary katolickiej pod rządami cara.

Anioł Pański.

Zwolna nikną nocne cienie,
Zorza zalewa sklepienie
Niebios, szczyty gór i lasy
Strugami szkarłatnej krasy.
Na kościele dzwon uderza,
By nas wezwać do pacierza:
Witaj zbawienia jutrzenko,
Witaj matko i panienko!
Ave Maria.

Morze blasku i promieni
Rozpływa się śród przestrzeni
Wszechświata, gdy na rydwanie
Słońce swym u szczytu stanie,
I w południe dzwon uderza,
By nas wezwać do pacierza:
Witaj nad słońce jaśniejsza,
Witaj nad światło czyściejsza!
Ave Maria.

Jak perły na tle cienistem,
Jak błyszczą na niebie mglistem
Gwiazdki, a śród nich płonąca
W złotym ogniu tarcz miesiąca.
Wtedy jeszcze raz uderza
Dzwon i wzywa do pacierza:
Witaj gwiazdo nad gwiazdami
I w ciemnościach świeć nad nami!
Ave Maria.

1894. Czesław Lubiński.

SPIŻARNIA ŚWIATA.

Od dziecka jesteśmy tak przyzwyczajeni do słodyczy wszelkiego rodzaju, że nie umiemy sobie wyobrazić, jak można żyć bez cukru, a jednak setki pokoleń obywało się bez niego. Napróżno u klasycznych pisarzy szukalibyśmy wyrazu Saccharum lub Sakcharon; ciasta przyrządzane przez piekarzy rzymskich, nader biegłych w swoim kunszcie, słodzone były miodem. W roku 1000 Norymberga, słynna z wyrobu słodyczy wszelkiego rodzaju, zużywała ogromną ilość miodu, dostarczanego przez barcie sąsiednich borów.

O cukrze dochodziły tylko dalekie wieści, uważane za bajki. W czwartym wieku przed Chrystusem, wodzowie Aleksandra Wielkiego, wróciwszy z indyjskiej wyprawy, opowiadali, że nad Indusem rośnie trzcina, która bez pomocy pszczół słodki miód wydaje. Jest to pierwsza wzmianka historyczna o cukrze. Wodzowie Aleksandra nie kosztowali go jednak, gdyż dopiero w szóstym wieku po Chrystusie, Indyanie nauczyli się otrzymywać stały produkt z saku trzciny cukrowej. Persowie wynaleźli sposób oczyszczania go; od nich nauczyli się Arabowie, którzy tak w cukrze zasmakowali, że we wszystkich swoich siedzibach: w północnej Afryce, Hiszpanii i Sycylii, założyli plantacye trzciny cukrowej.

Mimo to w Europie cukier był drogi, dostępny tylko dla ludzi bardzo zamożnych. Grał on wieksżą rolę w medycynie, niż w kuchni, przypisywano mu bowiem wielkie lecznicze własności. Rozpowszechniły go dopiero wojny Krzyżowe.

Po zdobyciu Ameryki, Hiszpanie obdarzyli tę część świata trzciną cukrową. Kolumb zasadził ją na wyspie Haiti, zkąd przeszła do innych wysp Antylskich i do Meksyku. Kortez poleca w testamencie założyć cukrownię w swoich dobrach meksykańskich; Pedro Cieza wprowadza ją do Peruwii. Ameryka niebawem tyle zaczęła dostarczać słodkiego produktu, że plantacye nad morzem Śródziemnem przestały się opłacać.

Sposób wyrabiania cukru z trzciny niewiele się zmienił od lat trzystu. Skoro pojedyńcze łodygi dosięgną wysokości dwóch do czterech metrów, przybierają wraz z liśćmi barwę purpurową, żółtą i fioletową, stósownie do gatunku. Plantacye przepysznie wtedy wyglądają. Zanim liście w kwiat się rozwiną, na polach zjawiają się gromady robotników, ścinają łodygi i oczyściwszy je z liści, pokrajane na drobne kawałki, odwożą do fabryki.

Pomimo licznej rzeszy nieprzyjaciół, upatrujących w cukrze źródło rozmaitych chorób, podbił on świat cały i stał się dziś niezbędnym. Potężnymi sprzymierzyńcami jego były: kawa, herbata i kakao, które w XVII. wieku przywiezione zostały do Europy. Miód musiał mu ustąpić miejsca.

W końcu XVIII. wieku zjawił się potężny spółzawodnik, który pobił na głowę cukier trzcinowy. (Ze względu na »głowę« cukru, wyrażenie to nie będzie niestósownem.) Nauka starała się zbadać słodki pierwiastek i odkryła, że mieści się on i w innych roślinach. Chemik berliński, Marggraf, wykazał w r. 1747, że sok wygotowany z buraków krystalizuje się i jest równie słodki jak cukier trzcinowy. Uczeń jego, profesor Achard, zaczął uprawiać buraki i założył w roku 1796 pierwszą cukrownię. Przemysł ten stopniowo doskonalił się i rozwijał, jako ważne źródło bogactwa Europy. Obecnie w samych Niemczech istnieje czterysta cukrowni, a świat spożywa rocznie miliardy funtów cukru. Nazwa jego pochodzi od indyjskiego wyrazu Sarkara, przerobionego przez Arabów na Sukhar.

Pierwiastek cukrowy jest bardzo rozpowszechniony, zwłaszcza w owocach. O owocach, dostarczanych przez drzewa i krzewy podzwrotnikowe, nie mamy pojęcia. Weźmy naprzykład owoce drzewa Durio Zibethinus, ze Syamu, rozpowszechnionego także na wyspach Zondzkich. Słynny podróżnik Walace woła ze zachwytem, że warto pojechać na drugą półkulę, żeby jeść duriony. Ogromne, kolczate owoce, wysoko zawieszone na gałęziach, mają smak wyborny, przypominający jednocześnie bitą śmietankę z migdałami, twaróg, sos cebulowy i wino Xeres. Ujemną jego stroną jest przykra woń gnijącej cebuli.

Przepyszne są mangi malajskie, o delikatnym smaku. Wielkością przypominają pomarańcze, ale skórę mają tak twardą, że trzeba silnej ręki i ostrego noża, żeby je przekrajać. Po zdjęciu skóry, brunatnej jak mahoń i wysłanej zewnątrz złotawą żywicą, ukazuje się przejrzysty miękisz olśniewającej białości, podzielony na skrzela jak u pomarańczy.

Owoce carica pepaya, wielkości pigwy, smaku podobnego do melona, rzadko jadają się na surowo. Niedojrzałe owoce krają się w plastry, moczą w wodzie a potem gotują. Syamczycy przepadają za tą potrawą, która Europejczykom niebardzo smakuje.

Komuby z nas naprzykład przyszło do głowy jeść pszczoły? Tymczasem Ceylończycy wysysają je z wielkiem upodobaniem. W Indyach, lilie wodne uważane są za wytworny przysmak i hodowane są na ten cel starannie; owoce niektórych gatunków lilii, rosnących w Kaszmirze, zawierają znaczną ilość krochmalu i przypominają kasztany.

Najdziwaczniejszą ze wszystkich jest kuchnia chińska. Pomijamy już zupę z gniazd jaskółczych, która pojawia się niekiedy i na stołach europejskich, ale mięso kocie i psie uważane jest tam za przysmak. Podobnie jak u nas cielęta i barany, tak w Chinach tuczą pewien gatunek psów, które nigdy nie szczekają i odznaczają się czarnemi językami. Zabijają ich rocznie 4,500,000.

Japończycy jedzą ryby żywcem, odcinając kawałek po kawałku. W Kochinchinie zgniłe jaja mają pierwszeństwo przed świeżemi. W Indyach paryasowie biją się z sępami i krukami o padlinę, ale ich usprawiedliwia głód, który nie pozwala wybredzać w jedzeniu.

W Nowej Kaledonii pieczone pająki uważane są za pierwszorzędny przysmak. Na wyspach Samoa robaki najmilej łechcą podnie-



Ks. Jan Kniaź z Kozielska Puzyna. (Obacz objaśnienia rycin na str. 176.)

bienie mieszkańców. W południowej Ameryce węże, jaszczurki i stonogi używane są za pokarm. W Indyach Zachodnich krajowcy oblizują się, zjadłszy grubą, włochatą gąsienicę, żyjącą na liściach palmowych. W Patagonii jedzą ziemię, w niektórych zakątkach Szwecyi i Finlandyi mięszają glinę do chleba.

W okolicach podbiegunowych jadają pokarm surowy, ale zmarznięty przyprawiony tranem. Wątroba wielorybia gra taką samą rolę na wybrzeżach oceanu Lodowatego, jak u nas pasztet strasburski. Grenlandczyk zanim puści się w dłuższą podróż, spożywa ogromną porcyę zmarzniętej foki. W zimie przechowują w śniegu fokę i z wielkim smakiem jedzą później mięso pół zgniłe, pół zlodowaciałe. Eskimosi tak samo postępują z łososiami, które po zmarznięciu stają się twarde jak drewno.

Kamczadale wrzucają złowione ryby w głęboki dół i jedzą je wtedy dopiero, kiedy ryby zamienią się w obrzydliwą galaretowatą masę, która zatruwa powietrze na kilka mil w około.

Na półwyspie Alaska ulubioną potrawą jest bigos, na który składają się jagody, mięso szczurów, fok, łososi, kóz i niedźwiedzia. To wszystko gotuje się z tłuszczem i bywa podawane na gorąco. Naturalnie, o takim zbytku jak widelce, niema tam mowy; wszyscy jedzą palcami, starając się pochłonąć jak największą ilość przysmaków.

Mówiąc o łakociach, nie można zapomnieć o małych myszkach maczanych w miodzie i połykanych w całości, oraz o rybach smażonych na oleju rycinowym. Za jedną i drugą przepadają Chińczycy.

Przechodząc do narodów cywilizowanych, to i tu można powiedzieć: »co kraj, to obyczaj.« Francuzi otrząsają się na nasz barszcz, my znów ze wstrętem odwracamy się od ich ślimaków. Obrachowano, że Paryżanie zjadają ślimaków 100,000 funtów dziennie, czyli na rok przeszło 2,000 beczek. Tak samo byłoby nam trudno przyzwyczaić się do żab, które we Francyi i Ameryce zyskały dawno popularność. W Stanach Zjednoczonych hodowla żab prowadzona jest na wielką skalę, niby chów kurcząt albo kaczek.



W SĄSIEDZTWIE TYGRYSA.

Zamiłowanie przygód i włóczęgostwa to namiętność, której człowiek oprzeć się nie może. Przekonałem się o tem na sobie: ileż-to razy, zwłaszcza w niebezpieczeństwie, przyrzekałem napróżno, że zaprzestanę moich wędrówek i spokojnie osiądę w rodzinnym kraju! Natura ciągnie wilka do lasu, mnie zaś żyłka myśliwska zawsze do nowych skłaniała wycieczek. Ledwie minęło niebezpieczeństwo, już zapominałem o postanowieniach i układałem plany nowej wyprawy.

Olbrzymie wyspy południowej Azyi zawsze nęciły mię swoją tajemniczością, przepyszną naturą i bogactwem. Spełniły się nakoniec moje życzenia; zawinąłem na wyspę Jawę i zapoznawszy się z holenderskim kontrolerem okręgu Koedoes, dostałem od niego zaproszenie do jego wiejskiego domu.

Naturalnie, pochwyciłem skwapliwie sposobność bliższego zapoznania się ze zwrotnikową przyrodą. Pyszne dziewicze lasy otaczały wiejską posiadłość Holendra, a nieprzebrana ilość zwierza zapewniała mi nadługo rozkoszne polowania. Całe dni spędzałem w lesie, w towarzystwie malajskiego służącego Odina i kilku jawańczyków, dodanych mi dla bezpieczeństwa, oraz do zabierania ubitej zwierzyny.

Jednego dnia po południu wyruszyłem wraz z Odinem do sąsiedniej wioski (kambong), w pobliżu której gnieździł się podobno osobliwy gatunek nietoperzy, zwanych z powodu wielkości »latającemi psami.« Dziwne to stworzenia: nad ranem tysiącami czepiają się gałęzi drzew i pozostają w tej pozycyi aż do wieczora; wtedy lecą na żer na brzeg morza, a o świcie znowu wracają na toż samo miejsce.

Przybywszy do wsi, wzięliśmy przewodnika. Dwie godziny błądziliśmy po lesie, nie mogąc trafić do legowiska nietoperzy. Mieliśmy już wracać, kiedy wtem nasz przewodnik krzyknął jakiś niezrozumiały wyraz i szybko zaczął uciekać; Odin pobiegł za nim.

Gdybym był pojął, o co im chodziło, byłbym to samo uczynił, ale myślałem, że spostrzegli jakiś osobliwy owad i gonią za nim, żeby mi go przynieść do puszki. Nie przypuszczałem, żeby mój wierny służący miał mię porzucić w niebezpieczeństwie.

Czekając na ich powrót, oparłem się o drzewo i spokojnie zapaliłem papierosa. Przedemną rozciągała się polanka, może na sześćdziesiąt kroków długa, gęstemi otoczona zaroślami. Ponad drzewami krążyły wciąż z niespokojnym krzykiem duże czarne ptaki, przypominające mi nasze wrony.

Nagle w pobliżu ozwał się stłumiony przeciągły ryk, i na chwilę zmroził mi krew w żyłach. Teraz zrozumiałem, co znaczył wykrzyk jawańczyka i trwożliwa ucieczka obu moich towarzyszy. Tygrys był niedaleko...

Położenie moje nie do zazdrości: uciekać — już zapóźno, zostać na polance — niebezpiecznie, ukryć się w zaroślach — niepodobna, bo tygrys ma węch bardzo delikatny. Możliwość walki ze strasznem świerzęciem była mi odjętą przez ucieczkę Odina, który niósł torbę z amunicyą; miałem wprawdzie nabitą strzelbę ale gdybym chybił, stałbym się pastwą tygrysa, który nad wszystkie przysmaki mięso ludzkie przekłada.

Wtem przyszła mi szczęśliwa myśl do głowy. Ze zwinnością kota wdarłem się na drzewo, pod którem stałem, i ukryłem się wśród gałęzi. Wszystkie pulsa biły we mnie przyspieszonem tętnem... A jeżeli tygrys mię poczuje i zechce również wdrapać się na drzewo? Potrzebaż mi było włóczyć się po Azyi, kiedy mogłem bezpiecznie siedzieć w Europie! Nie, jeżeli tym razem wyjdę cało z tej przygody i nie dostanę się na zęby strasznego zwierzęcia, przyrzekam święcie, że dam pokój wszelkim zamorskim wyprawom.

Kilka minut siedziałem na gałęzi, kiedy dał się słyszeć trzask łamanych krzewów i z zarośli wysunął się wspaniały olbrzymich rozmiarów tygrys. Serce mi silniej zabiło, ręka konwulsyjnie ścisnęła strzelbę.... Z mego miejsca mogłem mu się dobrze przypatrzeć. Szedł wolnym krokiem, przeciągając się leniwie; po nad jego głową krążyły wciąż czarne ptaki do wron podobne, ale dumne zwierzę nie raczyło zwrócić na nie uwagi. Dowiedziałem się później, że nieraz godzinami mu towarzyszą, czekając na resztki uczty, które im zostawia. Krzyk tych ptaków otrzegł jawańczyka o zbliżaniu się tygrysa i do szybkiej zmusił go ucieczki.

Przyjrzawszy się bliżej memu nieprzyjacielowi, omało nie klasnąłem w ręce z radości. Był to tygrys »królewski« o sierści prążkowanej, inaczej zwany bengalskim; ten gatunek nigdy nie wdrapuje się na drzewa, pozostawiając to mniejszym centkowanym tygrysom, panterom, jaguarom, kaguarom, oraz ludziom, kiedy strach zmusi ich do tego.

Odrazu wstąpiła we mnie odwaga. Wycelowałem i przycisnąwszy cyngiel, strzeliłem właśnie w chwili, kiedy krwiożercze zwierzę miało ukryć się w zaroślach. Rozległ się ogłuszający ryk, trzask łamanych gałęzi, krzyk przerażonych ptaków i małp na sąsiednich drzewach. Tygrys skoczył do góry i znikł; przez chwilę taka zapanowała cisza, że słyszałem wyraźnie bicie mego serca.

Wiedziałem, że kula nie chybiła celu, nie byłem jednak pewny, czy ugodziła w serce, gdyż strzelałem z odległości pięćdziesięciu może kroków. Chciwie łowiłem uchem każdy szelest: zdawało mi się, że słyszę w pobliżu jakiś szmer i stłumione jęki.

Przezorność nie pozwalała mi opuszczać mego wysokiego stanowiska. Kto wie, może w pobliżu jest jaki towarzysz zranionego tygrysa, może on sam zaczaił się w zaroślach i czyha na mnie?

Przypomniałem sobie, co mi opowiadano kilka dni temu o wytrwałości tych zwierząt. Malajczyk schronił się na drzewo przed tygrysem, który nie dał jednak za wygraną i położywszy się na trawie, czekał spokojnie, dopóki jego ofiara zmożona głodem i trwogą, sama mu w szpony nie wpadnie. Cztery dni trwało to szczególne oblężenie i byłoby się zakończyło tryumfem tygrysa, gdyby

nie nadbiegli krajowcy, zwabieni krzykiem nieszczęśliwego i nie odpędzili cierpliwego napastnika.

Kto wie, czy i ze mną ta sama nie powtórzy się historya... Jestem równie dobrym kąskiem, jak i malajczyk, a tygrys pewno niemniejszą od swego kolegi posiada dozę wytrwałości. Przyznaję, że te rozmyślania dość przygnębiające sprawiły na mnie wrażenie, a szybko zapadający zmrok, jak zwykle w zwrotnikowych krajach, bynajmniej nie przyczynił się do rozproszenia moich obaw. Wciąż mi się zdawało, że widzę błyszczące wśród ciemności szatańskie ślepie krwiożerczego zwierzęcia, słyszę jego sapanie i mruczenie.

Postanowiłem czuwać noc całą, ale z obawy żeby się nie zdrzemnąć i nie spaść prosto w paszczę tygrysa, przywiązałem się do drzewa jedwabnym malajskim pasem. W każdym razie mój gospodarz wyśle jutro rano ludzi dla odszukania moich kości i wybawi mię z tego niewygodnego położenia. Na domiar złego, głód i pragnienie zaczęły mi dokuczać; ratowałem się jak mogłem, żując liście drzewa, na którem siedziałem, ale to nie wiele pomagało.

Nie chciałbym za wszystkie skarby świata przeżyć drugiej takiej nocy. Sam jeden wśród gęstwin dziewiczego lasu, otoczony tysiącem nieznanych mi niebezpieczeństw, strwożony tajemniczymi odgłosami, rozlegającymi się wśród ciemności, czekałem tylko, rychło stanę się pastwą dzikich zwierząt, lub jadowitego gadu. Tymczasem opędzałem się jak mogłem mrowkom i mustykom, które na chwilę nie dawały mi pokoju.

Zdaje mi się, że ta noc musiała trwać najmniej dwadzieścia cztery godzin; nie mogłem się dnia doczekać. Z pierwszym brzaskiem słońca doszły mię strzały i okrzyki, które coraz więcej zbliżały się do mnie. Odpowiedziałem na nie i w krótce ujrzałem kilkudziesięciu krajowców z moim Holendrem na czele, witających mię okrzykami radości. Widząc, że mój tygrys jakoś się nie pokazuje, odważyłem się wreszcie zesunąć na ziemię.

Nie omyliłem się w przypuszczeniu, że noc tę spędziłem w sąsiedztwie tygrysa; znaleziono go istotnie w zaroślach — nieżywego. Kula wprawdzie nie trafiła w serce, ale przeszyła głowę, co niemało przyczyniło się do zwiększenia mojej sławy, jako celnego strzelca. Śmierć musiała nastąpić prawie natychmiast, jęki więc które słyszałem tak wyraźnie, błyszczące wśród ciemności ślepia, wszystko to było złudzeniem jedynie.

Nagrodę pięćdziesięciu guldenów, przyznawaną przez rząd każdemu pogromcy tygrysa, rozdałem między ubogich mieszkańców najbliższej wioski. Drugiej takiej nagrody zdaje mi się, że nigdy nie otrzymam — ta jedna noc, w sąsiedztwie leśnego potworu spędzona, na całe życie mi wystarczy.



OBJAŚNIENIA RYCIN.

Fałszerze monety. Niebezpieczne to rzemiosło, gdy kto monetę czyli pieniądze podrabia; za to karzą niemal więcej, niż za krzywoprzysięstwo lub włamanie się do domu. Na obrazku w dzisiejszem »Świetle« jest przedstawiona banda fałszerzy przy robocie. W piwnicy urządzili fabrykę i późną nocą wykonują rzemiosło swoje, pewni że nikt ich nie odkryje w podziemiach. Dla większego bezpieczeństwa jednak postawia najstarszy z fałszerzy córkę na straży. Długo im się udawało pieniądze wyrabiać i między ludzi wydawać, lecz nakoniec policya wpadła na trop. Pewnej nocy, gdy fałszerze przy pracy byli, wbiegła córka, stojąca na straży, do piwnicy i zadyszona zawołała przytłumionym głosem: »Policya!« Na to słowo fałszerze rzucili narzędzia, zagasili ogień na kominie i chcieli uciekać.... lecz już było zapóźno; przy drzwiach stali policyanci i złapali ich wszystkich. Kara wielka ich za przestępstwo spotkała.

Ks. Jan Kniaź z Kozielska Puzyna, książę-biskup Krakowski, urodził się w roku 1836. Pierwotnie uczył się prawa i został urzędnikiem, później jednak zaniechał świeckiego zawodu a poświęcił się wyłącznie służbie Bożej. Zaledwie kilka lat księdzem pobywszy, został mianowany biskupem sufraganem lwowskim, a przed kilku miesiącami księciem biskupem krakowskim jako następca nieodżałowanej pamięci ks. kardynała Dunajewskiego.

Dnia 17-go Lutego 1895 roku odbyło się uroczyste wprowadzenie nowego biskupa do katedry na Wawelu.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Podanie lotaryńskie o królu Stanisławie Leszczyńskim.

Roku 1757 młodzież górskiej wsi Thiéfosse, w Lotaryngii, postanowiła uczyć się musztry; zachęcił ją do tego stary sierżant z tejże wioski, który służył niegdyś w milicyi krajowej, wystawiając, jak się im przyda znajomość robienia bronią, gdy będą powołani do do wojska.

Obok wsi tej znajdowała się druga, zwana Vagney, której mieszkańcy słynęli z nieżyczliwości do sąsiadów, chciało się więc chłopom z Thiéfosse ubiedz zazdrośników i zaćmić ich sławą swoją.

Po kilku miesiącach wieść o musztrach rozbiegła się po okolicy, nawet po całej prowincyi i obiła się o uszy księcia Stanisława lotaryńskiego, zwanego »dobroczyńcą«, który bawił podówczas w Plombieres. Postanowił więc on odwiedzić wojowniczych górali i odbyć przegląd ich obrotów; kazał zawezwać też i mieszkańców sąsiedniej wsi Vagney.

Gdy się młodzież obu wsi w dzień naznaczony zgromadziła, wszczął się spor, kto stanie z przodu; dochodziło już nawet do kijów i kamieni, ale stary wiarus pogodził zwaśnionych, proponując, aby wybrali po jednym z każdej strony i kazali im się bić; strona zwycięzcy miała zająć pierwsze miejsce.

Wybranych odziano jak patronów obu wiosek, świętego Antoniego i świętego Lamberta; dano im kije w ręce i kazano wziąść się za bary. Lambert, wśród walki, zaplątał się w poły długiej swej szaty i runął jak długi; zwyciężyli chłopi z Thièfosse i stanęli z przodu. Nadjechał książę, otoczony świetnym orszakiem, wśród dźwięku trąb i bębnów. Chcąc okazać życzliwość swą dla wojowniczej młodzieży, wziął szpadę do ręki i zakomenderował:

— Broń na ramię!

Ale nikt ani się ruszył.

Powtórzył raz jeszcze rozkaz, ale i teraz ruchu nie było

— Czyście ogłuchli? — zawołał.

Wtem zbliża się doń wiarus i tłómaczy, że ludek ten nie rozumie mowy wojskowej, że uczył ich po swojemu i prosi, aby mu pozwolono samemu komenderować.

Zaczął więc kolejno wykrzykiwać:

— Fuzyę do góry!

— Fuzyę przed siebie!

— Twarzą do kościoła!

— Twarzą do karczmy!

I tak dalej. Musztra szła znakomicie, książę śmiał się i cieszył; sąsiedzi pękali z zazdrości, bo sami nic nie umieli.

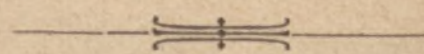
Przyszła kolej na nich. Okazało się, że są do niczego; książę wyraźnie im to powiedział; ale za to dzielnych junaków z Thièfosse pochwalił i każdemu kazał dać po parze nowych sabotów i mankietów płóciennych. Odjechał wśród okrzyku:

— Niech żyje pan nasz, niech żyje kochany książę Stanisław!

* * *

Wkrótce potem staremu sierżantowi przysłano w darze od księcia śliczną szpadę, z rękojeścią ze szczerego złota: biedak tak się tem ucieszył, że aż zachorował z radości i prędko umarł.

Ze śmiercią jego skończyły się ćwiczenia wojenne w Thièfosse. Ale pamięć o nich przechowała się do dziśdnia i teraz jeszcze w Wogiezach, chcąc pochwalić zręcznego rekruta, powiadają: robi bronią jak chłop z Thièfosse.



Czy słońce może wzniecić pożar?

Wiadomo, że w krajach podzwrotnikowych piasek bywa tak rozpalony, że można w nim ugotować jajko. Wypadki pożaru wskutek działania promieni słonecznych zdarzają się nietylko tam, ale i w strefie umiarkowanej, a wobec dość licznych dowodów niepodobna wątpić o możliwości tego faktu. W Brookfeld, stanie Massachusetts, cieśla zawiesił na stosie

drzewa wełnianą kurtkę, w której znajdowały się zapałki; było to w południe, w dzień upalny; kurtka wisiała kilka godzin na słońcu, zapałki się zatliły i w skutek tego wynikł pożar. Wiadomo jak silnie podczas lata rozgrzewają się dachy blaszane, szyfrowe lub z papy; niektórzy radzą nawet przykrywać je w południe mokremi szmatami, ażeby uniknąć wypadku.

Uczeni oddawna już znali sposób skupiania promieni słonecznych zapomocą wklęsłych zwierciadeł i szkieł palących; Archimedes miał się posługiwać niemi w celu spalenia floty rzymskiej. Znane jest doświadczenie z prochem, który wybucha pod wpływem promieni słonecznych skupionych we wklęsłem szkle; takiego szkła użyć można do rozniecenia ognia lub zagotowania wody.

Nawet zwyczajne szyby szklane mogą rozniecić pożar i dlatego we wszystkich fabrykach prochu szyby u drzwi i okien są pociągnięte białą farbą. W jednym domu zdarzyło się, że na oknie powieszono okulary; był to pokój wystawiony na południe i przeznaczony na skład sienników i pościeli. Okulary odegrały tu rolę szkła palącego i wznieciły pożar, który z trudnością przyszło ugasić. W Plymonth zapaliło się raz płótno gumowe od rezerwoaru lampy naftowej, na którą przez kilka godzin padały promienie słoneczne. W Dreznie zdarzył się taki wypadek: na stole pokrytym serwetą leżał przycisk do papierów, wsparty na czterech szklannych kulach. Słońce od kilku godzin na nie padało. Nagle właściciel spostrzega dym wydobywający się z pod przycisku i przekonywa się, że serweta zapaliła się od rozgrzanych kul szklannych.

W pewnym kościele podczas lata codzień w południe zapalała się ławka drewniana; w końcu proboszcz doszedł, że przyczyną było słońce, którego promienie skupiały się w ozdobnej szybie umieszczonej ponad ławką. Nawet na okrętach wynikają nieraz pożary z tego samego powodu.

W Plymonth, w roku 1876 zapaliła się na parowcu kajuta; pokazało się, że przyczyną ognia była okrągła szyba szklanna, na którą słońce działało od kilku godzin. Wiele wypadków pożaru, których powód dotąd był nieznany, teraz w ten sposób można będzie wytłomaczyć.

Praktyczne rady.

— **Przepowiednie temperatury.** Uczony dr. Troska podaje następujący sposób ścisłego oznaczenia temperatury dnia następnego. Na godzinę przed zachodem słońca trzeba wynieść na powietrze termometr szczelnie owinięty w kawałek cienkiego płótna lub muślinu, zmoczonego w czystej zimnej wodzie. Ilość stopni, jaką wtedy wskaże w cieniu i na słońcu, będzie taka sama nazajutrz o ósmej rano w cieniu. Na sto przepowiedni zaledwie 5% zawiódło. Termometru nie trzeba nawet obwijać całego, tylko kolbę szklaną, mieszczącą żywe srebro.

— **Złoty atrament.** Podajemy sposób przyrządzenia złotego atramentu bez złota, a więc bardzo taniego. Bierze się dwie równe części jodku potażu i niedokwasu ołowiu, umieszcza się w filtrze i nalewa na to dwadzieścia razy tyle wrzącej wody destylowanej, ile mięszanina ważyła Skoro płyn przefiltrowany ostygnie, wówczas jodek ołowiu oddzieli się w postaci blaszek, barwą i połyskiem podobnych do złota. Trzeba je zmięszać z roztworem gumy arabskiej i potrząsnąć zawsze przed użyciem.

— **Rozpoznać wiek jaj.** W kwarcie wody rozpuścić 120 gr. soli kuchennej i zanurzyć w niej jaja, których wiek chce się rozpoznać. Jaja zupełnie świeże idą na dno, te co były zniesione temu dwa dni nie dosięgają dna, te co mają trzy lub cztery dni, zanurzają się tylko; jaja zaś, które mają więcej niż cztery dni pływają na powierzchni.



Rozmaitości.

* **Śpiew, głośne mówienie i czytanie** podbudzają apetyt, gdyż przyśpieszają oddychanie w skutek czego więcej tlenu do płuc się dostaje, ciało zaś używa więcej węgla i wodorodu. Ztąd powstaje uczucie głodu, organizm bowiem potrzebuje zastąpić nowem pożywieniem poniesione straty. Śpiąc nie doznajemy głodu, gdyż wtedy oddychanie odbywa się powolniej, zarówno jak trawienie i i w skutek tego następuje obniżenie temperatury ciała.

* **Ogólna produkcya** złota wynosiła w 1887 r. 502,013,000 fr., a zatem mniej niż lat poprzednich. Najwięcej złota dostarczały Stany Zjednoczone bo 194 mil. fr., drugie miejsce zajmuje Australia, zkąd wydobyto 133 mil., trzecie Rosya, gdzie produkcya tego kruszczu wyniosła 106 mil. fr. Reszty dostarczały Ameryka, południowa, Indye, Kanada i południowa Afryka. Przeciwnie produkcya srebra wzrosła przez ostatnich lat kilka, i wyniosła w r. 1887 przeszło 600 mil. fr.; Stany Zjednoczone i Meksyk najwięcej tego kruszczu dostarczały.

* **Największa pasieka** istnieje w Kanadzie koło Becton i zajmuje ośm morgów przestrzeni. Właściciel posiada 19,000,000 pszczół, które dostarczają mu rocznie od 60,000 do 75,000 f. miodu.

* **Słuchając** miarowego stukania maszyn do szycia, które warczą i obracają się bez końca, mimowoli trzeba zadać sobie pytanie, ile też to igła migająca z błyskawiczną szybkością musi zrobić ściegów, żeby uszyć jedną koszulę? Jeden z cierpliwych statystów zadał sobie pracę obli-

czenia wszystkich poruszeń igły i obrachował, że do uszycia koszuli potrzeba 19,909 ściegów. Kto nie wierzy, niech sprawdzi.

* **Cynamon,** podobnie jak sól, należy do przypraw najdawniej używanych, już bowiem na 700 lat przed Chr. jest wzmianka o nim w starożytnych chińskich manuskryptach. Herodot także wspomina o cynamonie, a Biblia wymienia go między najcenniejszemi przedmiotami handlu. Długo bardzo był rzadkością, gdyż jeszcze w średnich wiekach płacono za funt cynamonu dukata. Sławny z bogactw kupiec Fugger, kiedy przyjmował w Augsburgu cesarza Karola V, kazał na kominku napalić cynamonem, co w owe czasy uważano za niesłychany zbytek. Drzewo cynamonowe pochodzi z Ceylonu, teraz jednakże hodowane jest w całych Indyach i w Ameryce południowej.

* **Z centnara żelaza** można wyrobić 657,895 sztuk igieł, a ponieważ igła przecięciowo kosztuje grosz, więc centnar żelaza przerobiony na igły daje 6,578 marek 85 fen. Jeszcze więcej jest warte żelazo przerobione na sprężyny do zegarków, z jednego bowiem centnara otrzymuje się sprężyn za 3 miliony marek.

* **Drzewo wydające gwoździki,** zowie się »Caryophyllus aromaticus« i należy do gatunków mirtu; pochodzi ono z wysp Moluckich i może być hodowane tylko w krajach podzwrotnikowych. Podobne z kształtu do wiśni, liście ma zielone i błyszczące; same gwoździki pochodzą z pączków kwiatowych, zawierających olejek aromatyczny; jedno drzewo wydaje ich około 3 klgr. Zbiór odbywa się od Października do Grudnia, a zebrane pączki suszą się na ogniu. Gwoździki służą nietylko do celów kuchennych, jako przyprawa, używane też są do wyrobu pachnideł, likierów.

* **Znane powszechnie** świętojańskie robaczki słabe nam dają wyobrażenie o świecących owadach w strefach podzwrotnikowych. W południowej Ameryce jest jeden gatunek chrząszczy, które tak silne światło wydają, że można przy niem czytać w nocy. Indyanie udając się w podróż wieczorem, przywięzują sobie takiego chrząszcza do obuwia, ażeby im przyświecał w drodze zamiast latarni; kobiety tem samem światłem posługują się przy wieczornych robotach. Piękne kreolki z wyspy Kuby zdobią na balach krucze swoje sploty błyszczącymi chrząszczami, z których jedne świecą czerwono, inne błękitno lub zielono. Podobnie jak u nas kanarki, tak w Indyach zachodnich hodują w klatkach błyszczące chrząszcze, karmiąc je sokiem trzciny cukrowej, ażeby zamiast lamp oświecały mieszkanie swoim blaskiem.

* **Zkąd pochodzi przesąd co do liczby 13?** Jednym z najbardziej zakorzenionych przesądów jest wiara w fatalny wpływ 13. Ludzie bardzo rozumni nie chcą nieraz zasiąść do stołu, jeżeli przy nim znajduje się trzynastu biesiadników i każdy gospodarz, każda gospodyni domu pilnie baczy na to, ażeby nie zaprosić takiej liczby gości, którąby dawała pochop do czynienia złych przypuszczeń. Jeżeli przy stole siedzi trzynaście osób, jedna z nich umrze niewątpliwie w ciągu roku — takie jest ogólne przekonanie. Wprawdzie ludzie umierają bez względu na to, czy ich było razem ośmiu, sześciu czy trzynastu, ale cóż poradzić wobec siły przesądu? Trzynastka w ogóle ma tak złą opinią, że 13-go każdego miesiąca mniejszy bywa ruch na kolejach, a w wielu hotelach niema pokoju oznaczonego tym numerem, gdyż nikt nie chciałby w nim stawać. Tak łatwo jest o nieszczęśliwy wypadek, a wtedy wszystkiemu byłaby winna owa biedna trzynastka.

Niejeden zapyta, jakie jest źródło tego przesądu, dlaczego ze wszystkich liczb jedna tylko w taką popadła niełaskę. Już w starożytności krzywem na nią patrzano okiem, dowód że Pitagoras i jego szkoła, która każdej liczbie przyznawała tajemnice jakieś własności, uważała trzynastkę na liczbę przynoszącą nieszczęście. To samo mniemanie spotykamy w dziełach astrologa Makroba, szambelana na dworze cesarza Teodozyusza II. Z tego widzimy, że przeciw tej liczbie istniało już pewne uprzedzenie, które stało się ogólnem dopiero po zaprowadzeniu chrześciaństwa. Przed męką Chrystusa do Wieczerzy Pańskiej zasiadło trzynaście osób: Zbawiciel i dwunastu apostołów; jeden z nich jest naznaczony piętnem zdrajcy, to Judasz Iskaryota, ostatni przyjęty do grona uczniów Chrystusowych. Malarze chrześciańscy chętnie odtwarzali tę scenę, starając się nadać wielką wyrazistość Judaszowi; wyobraźnia ludu widziała w jego zbrodni wpływ liczby 13 i utwierdziła się w przekonaniu o fatalnym jej wpływie.

* **Uczony Schofhäntel** obrachował, że gdyby zebrać razem wszystkę sól jaką zawiera woda morska, utworzyłby się z tego blok soli, który miałby rozległości 3 miliony mil kwadratowych i byłby pięć razy wyższy od Alp.



ŻARTY.

Prośba.

— Wzywam panią poraz drugi ażebyś powiedziała, ile masz lat, uprzedzam tylko, że w razie zatajenia prawdy spotka panią kara.

— Mam czterdzieści pięć, ale zaklinam pana, napisz tak, żeby nikt nie mógł przeczytać.

Znalazł winnego

— Janie, jakim sposobem, wyszło cztery butelki wina, kiedy goście tylko trzy wypili?

— Nie wiem, proszę pani, może który z gości na boku wypił czwartą.

Przezorność bankiera.

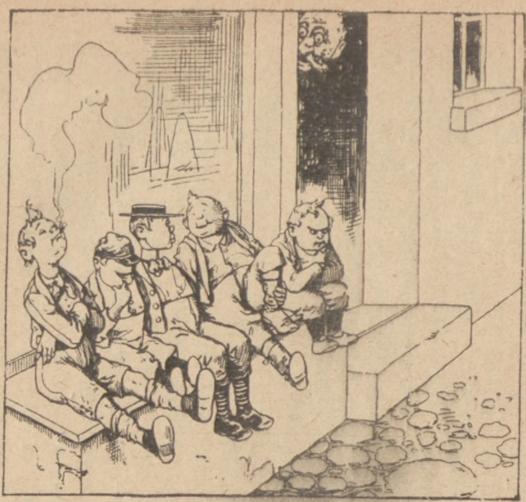
— Dlaczego wydałeś pan córkę za swego kasyera, panie Goldsznabel?

— Przez przezorność, panie Mayer. Jeżeli kiedy kasyer umknie do Ameryki z moją kasą, to przynajmniej pieniądze zostaną się w rodzinie.

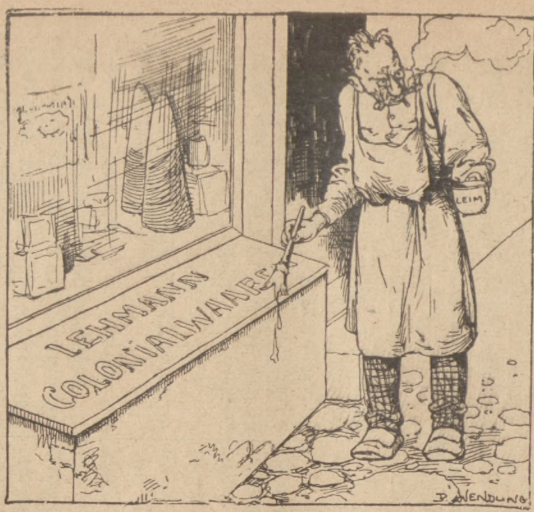
Uczciwy lokaj.

— Nie, nie mogę dłużej patrzeć na to, jak kucharka i pokojówka okradają naszych państwa! Od jutra i ja także zacznę na swoją rękę.

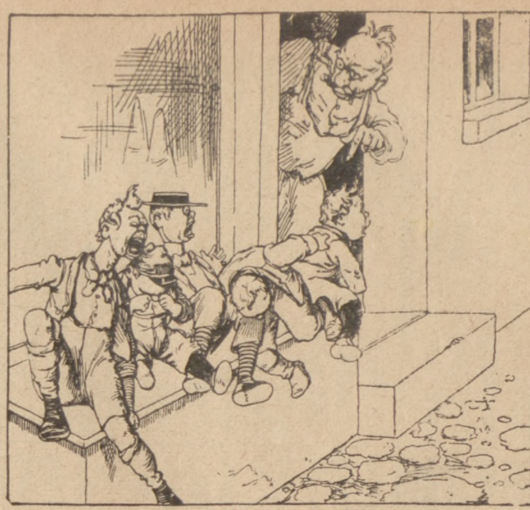




1. Kupiec Leman miał ładny handel z oknem wielkiem wystawowem. Przed oknem znajdował się mur, który wystawał tyle naprzód, że chłopcy zbiegali się z miasta i siadali sobie na owym murze, zasłaniając towary w oknie wystawione.



2. Kupiec nie mogąc się chłopcom opędzić a chcąc ich oduczyć od siadania przed oknem, kazał stróżowi domu pomalować owo siedzenie mocno klejom.



3. Chłopcy przyszli i usiedli jak zazwyczaj. Siedzą i śmieją się. Wtem stróż na nich: „A wy berbecie!“ Chłopcy chcą uciekać, lecz nie mogą, bo się przylepili.



4. „Czekajcie łobuzy“ — woła stróż, — „idę po policyanta.“ I rzeczywiście odchodzi, a chłopcy płacząc szamocą się i podrywają.



5. Stróż na rogu ulicy spotkał policyanta i opowiedziawszy mu o co chodzi, prowadzi go do przyklejonych chłopców.



6. Co tam znaleźli?!

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.